

Korzystając z wolnego czasu, jaki mi został ostatnio dany, robiłem porządki w domu. Przy tej okazji przeglądałem między innymi stare dokumenty, typu PITy, księgi rachunkowe, itp. W pewnym momencie natknąłem się na kilka zadrukowanych kartek. Na pierwszej z nich widniał tytuł: "Pan jest mocą i pieśnią moją!". No tak - to było świadectwo, które napisałem - nie da się ukryć - już dawno dawno temu...

Dzielę się nim z pewnym wzruszeniem. Proszę wybaczyć jakość techniczną - są to zeskanowane kartki, więc nie korygowałem błędów, które dostrzegłem przy ich lekturze...

Pan jest mocą i pieśnią moją !

Poproszono mnie, bym się podzielił z czytelnikami "Wawrzyna" swoimi doświadczeniami i przeżyciami, na mojej drodze do Pana Boga. Zgodziłem się z radością, bo wspaniale jest mi przekazać to, co bardzo cieszy, o czym każda myśl powoduje ciepło koło serca.

A potem - jak to zrobić. Żaden ze mnie pisarz, nigdy nie przejawiałem jakiegś specjalnej zdolności dziennikarskiej.

A potem - to wszystko jest takie wspaniałe, Pan Bóg jest tak dobry i cierpliwy, i taki niepojęcie miłujący - warto o tym krzyczeć, śpiewać, i pisać.

A potem - skąd wziąć na to czas. Układanie ładnych zdań jest czasochłonne.

I nagle okazało się, że czas jest. Mam takie trzy godziny w ciągu tygodnia, gdy mój syn gimnastykuje, a ja usiłuję robić coś pożytecznego (ten nadmiar pracy - zawsze jest coś do zrobienia), a tak naprawdę drzemię w fotelu (ten nadmiar pracy i to zmęczenie).

Przydługi wstęp? Mówiłem, że nie jestem specjalistą od pisania. Spróbuję więc zacząć od początku. Od mojego początku.

Urodziłem się dokładnie w połowie bieżącego stulecia w rodzinie o wyznaniu protestanckim (ewangelicko-augsburskim). O swoim dzieciństwie myślę z wielką radością - że było takie, jak było - spokojne, ciepłe, rodzinne, wygodne.

Od początku w moim życiu był Pan Bóg. Nauczono mnie modlitw, religii, co dwa tygodnie chodziłem do kościoła lub kaplicy - z taką częstotliwością odbywały się nasze nabożeństwa.

Z dzieciństwa wyniosłem uczucie, które można nazwać co najmniej niechęcią do kościoła katolickiego i wszystkiego, co jest z tym związane. Myślę, że niebagatelny wpływ miały na to docinki moich kolegów i koleżanek w najmłodszych klasach. Religia katolicka była wtedy jeszcze uczona w szkołach i nie raz za mną i za moimi siostrami rozlegały się okrzyki: "Kocia wierzy w Jezusa". Rosło we mnie poczucie wyższości - my nie wierzymy w jakieś zabobony typu święci. Pan Bóg to Jezus - tak, Najświętsza Maria Panna - nie. Nasz kościół zwał się mariacki, a mi długo kojarzyło się to z Matką Chrystusa.

Pan Bóg był zatem zawsze ze mną, lecz ja z Nim - nie bardzo. Bardzo szybko odkryłem, że jeśli wieczorem zmówię pacierz niedbale lub w ogóle się nie pomodlę, to nic złego się nie dzieje. Przecież czy warto się modlić, skoro świat jest tak racjonalnie urządony, wszystko da się rozumowo wytłumaczyć - takie przeświadczenie umacniało się we mnie w miarę przechodzenia do coraz wyższych klas. A jeśli jeszcze nawet czegoś nie wiemy - jaki był początek wszechświata, jak jest zbudowany kosmos - to na pewno zostanie to odkryte i wytłumaczone zanim dorosnę, może trochę później. Czytałem literaturę popularno-naukową, opowiadania i powieści i ~~science-fiction były jednym z moich ulubionych gatunków literackich.~~

Bóg jakoś się w tym wszystkim nie mieścił. Był nienowoczesny, nienaukowy, niewytłumaczalny.

Przykład moich starszych siostr umacniał mnie w przekonaniu, że to, czego człowiek nie jest w stanie zrozumieć, należy odrzucić jako rzecz nieprawdziwą.

W kościele ewangelicko-augsburskim do pierwszej komunii przystępuje się w trakcie konfirmacji, czyli przyjęcia w poczet pełnoprawnych członków zboru. Konfirmowana młodzież ma zazwyczaj 16 lat, a więc jest w pełni świadoma swoich czynów. Ja też byłem świadom - że Bóg nie istnieje - że do konfirmacji przystępuję dla rodziców. A ponieważ nie potrafię robić nic na niby połowicznie, więcej do komunii w kościele ewangelicko-augsburskim nie przystąpiłem.

I tak żyłem licząc tylko na własne siły i rozum. Na studiach poznałem dziewczynę, w której zakochałem i po kilku latach ożeniłem się z nią. Była katoliczką - nie szkodzi. Wzięliśmy ślub katolicki - wszystko jedno. Jej na tym zależało, dla mnie to było obojętne. Cieszyłem się, że jestem z nią, Pan Bóg w tym nie uczestniczył.

Mijały lata - lepsze i gorsze. Urodziły się nam dzieci. Ochrzciliśmy je również w kościele katolickim - żona tak chciała, mi było wszystko jedno.

Jednak w miarę upływu czasu pewne rzeczy przestały mi się zgadzać. Trudno było wciąż zauważać, że istnieją zjawiska, wydarzenia, relacje, których nie da się wytłumaczyć, uzasadnić. Zarówno w nauce, gdzie w miarę wzrostu wiedzy powiększała się liczebność spraw wyjaśnionych, jak i w najbliższym otoczeniu. Czy to na przykład był przypadek, że mój teść umierał po długiej i ciężkiej chorobie właśnie w nocy, zasypiając spokojnie po Spowiedzi Świętej i przyjęciu Sakramentów? Czy to zbieg okoliczności, że babcia żony umarła właśnie wtedy, że żona modliła się gorąco o Bożą opiekę nad nią?

Zacząłem szukać. Oczywiście jak najdalej od źródła. A więc psychoanaliza, psychoterapia, ale człowiek jest panem samego siebie, może również zapanować nad swoim organizmem, może sam leczyć. Wystarczy stosować odpowiednie techniki maksymalnie relaksując się i otwierając (co?!). A więc religie Wschodu - no bo przecież mój Bóg nie istnieje. Była jeszcze radiestezja, czyli wahadełko, różdżka, kolory. Było to bardzo ciekawe, tylko tam też nie wszystko mi się zgadzało. Bo dlaczego, gdy jedyny raz w życiu szukałem z różdżką cieków wodnych, przypląciłem to straszliwym bólem głowy i całkowitym rozbiciem? Bo dlaczego, gdy w trakcie długotrwałej i ciężkiej choroby leczyłem się kolorami, stan mój się nie polepszał, a ja wręcz odwrotnie?

Wreszcie doszedłem do wniosku, że skoro wszystko wskazuje na to, że oprócz ludzi i tego świata naprawdę coś jeszcze istnieje, mogę spróbować modlić się do Pana Boga.

Najpierw robiłem to, gdy już wszyscy domownicy spali. Przypominałem sobie modlitwy dzieciństwa - nie było to trudne, one były we mnie. Próbowałem wyobrażać sobie Pana Boga jako staruszkę, który widzi mnie i słyszy moją modlitwę. To mnie nadspodziewanie wciągało, dawało jakieś niezrozumiałe oparcie, uspokajało wewnętrznie.

Stan taki trwał już kilka miesięcy, gdy nagle moja żona oświadczyła, że chce iść z pielgrzymką do Częstochowy. Kiedyś, gdy żona była przez jakiś czas w szpitalu, samodzielna opieka nad dziećmi była dla mnie trudną próbą. Teraz więc również trochę obawiałem się tego, ale jakoś nie bardzo

Modliłem się nadal w ukryciu i nagle doszedłem do wniosku, że mogę modlić się wraz z dziećmi. Nie pamiętam ich reakcji, gdy im to zaproponowałem - pewnie się trochę zdziwiły. I od tamtej pory modlimy się razem, przede wszystkim w intencji pielgrzymki.

Ponieważ nie lubię nic robić do połowy, postanowiłem przystąpić do kościoła katolickiego. Wydawało mi się to naturalną konsekwencją tego, co się działo, a poza tym pozwalało uporządkować pewne rzeczy, jak choćby ten stan, gdy w niedziele odprowadzałem rodzinę do kościoła, a sam szedłem na spacer - jak odpowiedzieć na pytanie syna, dlaczego on musi iść do kościoła, a ja nie?

Gdy więc szalenie utrudzona żona wróciła z Jasnej Góry, zakomunikowałem jej swoją decyzję i ona w płacz i mówi, że właśnie taka była intencja jej pielgrzymki. Opowiedziała mi, że droga była dla niej bardzo trudna, lecz wyraźnie czuła, że musi wytrwać. Opowiedziała też, że gdy ks. Orzechowski zaproponował, by wystąpili pielgrzymujący małżonkowie, aby odnowić świątynię małżeńską, ona również, niemal ku swojemu zaskoczeniu, znalazła się na środku i uczestniczyła w modlitwie w swoim i moim imieniu.

Postanowiłem również o mojej decyzji powiedzieć siostrze. Mieszkała ona również w Wrocławiu, ale utrzymywaliśmy dość luźne kontakty. Zatelefonowałem więc do niej i dowiedziałem się, że ona zrobiła to, co ja zamierzam zrobić, cztery lata wcześniej (a jest właśnie tyle starsza ode mnie). Oczywiście nasza radość była ogromna.

Siostra powiedziała mi, jak się zabrać do realizacji tego pomysłu. Pokazało się, że Pan Bóg na tej drodze postawił ks. Aleksandra Radeckiego, gdy jeszcze był w kościele Św. Rodziny na Sępolnie i on przygotował ją do pierwszej Spowiedzi i Komunii Świętej. Obiecała mi, że dowie się, jak mógłby również zająć się moją osobą.

I tak przez jakiś czas jeździłem do Mokrzeszowa do ks. Aleksandra, który mówił mi wspaniałe rzeczy o Panu Bogu, a ja je chłonałem wszystkimi porami mojej skóry. Zalecił mi również lekturę bardzo grubej książki "Taka jest nasza wiara", zawierającej wykład religii katolickiej wraz z dogmatami. Przeczytałem, nie, przestudiowałem tę książkę z zapartym tchem i nic nie wzbudziło moich wątpliwości. Wszystko było takie jasne i wspaniałe. Mój nieustannie czuwający i kontrolujący wszystko rozum został podporządkowany sercu - nie przestał czuwać, ale myślał już jakoś inaczej. Myślę, że została mi zabrana głupia ambicja, że wszystko muszę do końca zrozumieć, i w ten sposób utworzyło się miejsce na wiarę.

W międzyczasie żona dowiedziała się od koleżanki, że są takie grupki ludzi, którzy się regularnie spotykają i modlą się, wznoszą ręce, mówią językami - jednym słowem dowiedziała się o Odnowie w Duchu Świętym. Postanowiła mnie wysłać na takie spotkanie, żebym zobaczył, co to jest. Do dziś pamiętam, jak ks. Orzechowski spytał mnie, gdy nieśmiało wchodziłem do sali modlitewnej, kim jestem i skąd się tu wziąłem. Nazwisko koleżanki okazało się wystarczającą przepustką.

Akurat było to spotkanie inauguracyjne seminarium Odnowy. Po zaakceptowaniu tego faktu przez ks. Aleksandra i Stanisława stałem się uczestnikiem seminarium.

I wreszcie:

- sobota: pierwsza w życiu Spowiedź Święta,
- niedziela: pierwsza Komunia Święta,
- poniedziałek: modlitwa o wyalnie darów Ducha Świętego.

Potem - tak, to prawda - wszystko było nowe. Radość z powodu Eucharystii ciągle Jej niedo- radość z każdego innego powodu, pokój w sercu, odkrycie na nowo szczęścia rodzinnego. Mił- do wszystkich i do wszystkiego wylewała się ze mnie. Musiałem się nią dzielić. Przy ok- najbliższej Wigilii i oplatka w pracy z radością obserwowałem zaskoczenie i wzruszenie mo- współpracowników, gdy im opowiedziałem, co się stało. Oni znali mnie przecież od lat j- zdeklarowanego niewierzącego.

Matka Boża jakby w tym procesie nie uczestniczyła. Nie zastanawiałem się nad tym - nie by- dla mnie żaden problem. Po prostu był ze mną mój Pan, Chrystus, i to mi wystarczało.

Kilka miesięcy później pojechałem na rekolekcje do Gostynia. Były one zapowiedziane j- odnowowe. Na miejscu okazało się, że ich głównym tematem była Najświętsza Mar- Zaskoczyło mnie to bardzo. Nie jestem pewien, czy bym tam pojechał, gdybym o tym wied- wcześniej. Na szczęście nie wiedziałem, bowiem stało się tam coś wielkiego i piękne- Zrozumiałem, że Matka Boża jest kimś bardzo mi potrzebnym. Że kocha mnie i czeka na m- deklarację, że chcę, aby mi pomagała dążyć do Jej Syna. A przecież Ona zna Go najlep- Naprawdę warto z tej pomocy korzystać.

W trakcie tych rekolekcji zawierzyłem siebie i swoją rodzinę Najświętszej Matce Bożej. Cz- ludzie nie mogą mnie zrozumieć, gdy mówię, że Jezus doprowadził mnie do Swojej Ma- Przecież to Ona zazwyczaj prowadzi do Niego. Oczywiście! Tyle, że ja poznałem Ją Później- Jezusa Chrystusa.

Czy jestem szczęśliwy. Tak. Wiem o tym również w chwilach, gdy radości tak trudno doszukać, gdy jest smutno i nie bardzo wiadomo, co dalej w konkretnej sytuacji życiowej. Jes- szczęśliwy, bo PAN JEST MOCĄ I PIEŚNIĄ MOJĄ. Alleluja!

ZZ